TYGODNIK JEDNOSTEK WOJSKA NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE APW

Nr 27 (119) Rok III | CENA 20 MLS. | M. P. 7 LIPCA 1946 R.

GŁÓD PANUJE W KRAJU

Gdy się czyta prasę, kontrolowaną przez administrację warszawską, odnosi się wrażenie, że Polska w szybkim tempie idzie ku odbudowie, i że nie wiele już brakuje, aby p. Bierut mógł powiedzieć słynne sowieckie: „u nas wsio jest" (my wszystko mamy). Gdy się zaś czyta niezależną prasę zagraniczną albo wnika w oświadczenia miarodajnych osobistości, które zbadały stan rzeczy w okupowanym kraju, wie się prawdę straszliwą: w Polsce jest głód, w Polsce śmierć głodowa zagląda dzieciom w oczy, w Polsce sowiecka okupacja „wyzwoliła" niszczycielskie siły gospodarcze, które nawet podczas okupacji niemieckiej nie występowały w takim stopniu i z taką siłą.

Zadajmy sobie pytanie: jaki jest stan faktyczny w dziedzinie aprowizacyjnej kraju? I odpowiedzmy na to pytanie ustami osób, których powaga i rzeczowość jest ponad wszelką wątpliwość pewna.

Dnia 23 kwietnia br. szwedzki dziennik „Aftonbladet" ogłosił wywiad z szefem oddziału UNRRA w Polsce — generałem Drury. Oświadczył on, że sytuacja żywnościowa w Polsce jest tak zła, iż trzeba zastosować najbardziej energiczne środki dla zapobieżenia zbliżającej się katastrofie. Gen. Drury stwierdził, że z dniem 15 maja wyczerpią się wszelkie zapasy chleba i że choć nie wie, skąd Polska go otrzyma, to jednak podkreśla, że musi z zewnątrz otrzymać. „Próbujemy pożyczyć zboże od Szwecji i Danii. Uzyskanie tej pożyczki chleba jest dla Polski zagadnieniem wielkiej wagi, od którego rozwiązania zależy wiele istnień ludzkich" — mówił szef oddziału UNRRA. I dodał: „żaden kraj nie znajduje się w tak trudnej sytuacji jak Polska".

Herbert Hoover, działający z ramienia prezydenta Trumana, przemawiając 31 marca w Warszawie, powiedział, że sytuacja żywnościowa Polski jest „tragicznie zła" — najgorsza, z jaką spotkał się podczas pełnienia swej misji. Kraków i Łódź miały nieraz trzytygodniowe okresy zupełnego braku chleba. Hoover dodał, że Stany Zjednoczone w przeprowadzonych badaniach stwierdziły, iż około 2.600.000 dzieci polskich jest fizycznie niedorozwiniętych wskutek złego odżywiania. Notowany jest „ogromny wzrost" wypadków gruźlicy i innych chorób. „Pięć milionów dzieci polskich musi otrzymać żywność natychmiast. One nie mogą czekać" — oświadczył p. Hoover. Stwierdził ponadto, że Polak otrzymuje przeciętnie tylko 1.500 kalorii dziennie. Aby to sobie lepiej uprzytomnić, dodajemy, że — jak pisze „News Chronicle" — przeciętny Brytyjczyk otrzymuje 3.000 kalorii.

Poważny londyński tygodnik „The Economist" pisze: „W drugim tygodniu maja zapasy chleba będą wyczerpane. W czerwcu kraj stanie w obliczu głodu — jeżeli nie przyjdzie pomoc z zewnątrz. Deficyt spożycia ludzkiego ocenia się na 330.000 ton. Do tego trzeba dodać deficyt zboża siewnego wynoszący 215.000 ton.

Racja chleba dla ludności nierolniczej (chleb i kartofle stanowią około 63% przeciętnej racji żywnościowej) musi być obcięta z 350 gramów dziennie (przeciętna utrzymywana do marca) — do około 230 gramów. Poprzednia liczba wymagała około 130 tys. ton ziarna miesięcznie; obniżona racja na głowę wymagać będzie tylko 85 tys. ton miesięcznie na czerwiec, lipiec i sierpień — i około 75 tys. na maj. Ta ilość musi pokryć nie tylko normalne potrzeby ludności nierolniczej, ale wszystkie elementy nie produkujące, licząc w tym repatriantów i gospodarzy, pozbawionych obecnie środków. W całości ilość ludzi, których należy wyżywić, wynosi 13 milionów na ogólną liczbę ludności 23.330.000, nie licząc wojska".

Do tych danych dołączmy jeszcze informację warszawskiego korespondenta „Manchester Guardian", który podaje: „Około 4 milionów akrów oczekuje na ziarno siewne, którego nie może dostarczyć ani rząd, ani chłopi z resztek swoich zapasów. Zapasy rządowe są tak nikłe, że na maj br. będzie do dyspozycji tylko 15 tysięcy ton, podczas gdy miesięcznie tylko na przydział chleba potrzeba conajmniej 80 tysięcy".

Ciśnienie rzeczywistości aprowizacyjnej stało się w kraju tak wielkie i dla wszystkich oczywiste, że „minister" aprowizacji Stachelski przyznał, że ziemia polska nie wyżywi ludności w krytycznych miesiącach przed zbiorami.

Tak więc, niestety, nie ulega kwestii, że stan rzeczy w dziedzinie aprowizacji kraju jest niezwykle groźny: grożący katastrofą. Najjaskrawiej sformułował te perspektywy „minister" rolnictwa p. Mikołajczyk, który w rozmowach podczas wizyty Hoovera w Warszawie oświadczył, iż poświęcenie wszystkich zapasów na zasiew mogłoby w rezultacie doprowadzić do tego, że gdy przyjdą zbiory, to niewielu pozostanie Polaków, którzyby mogli z nich korzystać.

■

Stwierdzenie wielkiego deficytu zboża konsumpcyjnego i siewnego nie wyczerpuje jednak ekonomicznej charakterystyki sprawy aprowizacji kraju. Musimy tu jeszcze wziąć pod uwagę problem wolnego rynku i cen produktów żywnościowych.

W Polsce istnieje wolny rynek, na którym *wszystko* można kupić po cenach niezmiernie wysokich, nie stojących w żadnym stosunku do przeciętnych zarobków obywatela okupowanej Polski. Dlatego sytuacja przedstawia się w sposób dramatycznie — paradoksalny: z jednej strony obfitość jadła, jaką widzi się w restauracjach i na wystawach — z drugiej strony głód, który gnębi szerokie masy ludności. W hotelu „Polonia" w Warszawie można było w kwietniu b.r. spożyć wyborowy obiad za 500—600 złotych, ale np. przeciętna miesięczna pensja nauczyciela wynosi 1.000 złotych. Według relacji korespondentki dziennika glasgowskiego „The Bulletin" funt masła kosztuje w Polsce 250 złotych, słoniny — 230, cielęciny — 150, wołowiny — 130, szynki — 250. Bochenek chleba kosztuje 70 złotych. Herbata, jeżeli ją można otrzymać, kosztuje około 4 tys. złotych za funt. Za parę butów dla dorosłego płaci się 11 tys. złotych, obuwie dziecinne kosztuje około 3.500 zł. „W Warszawie można za odpowiednią cenę napić się kawy z podwójną porcją śmietanki i dostać ciastko z kremem. Parę mil za miastem ludzie żyją w jamach, wykopanych w ziemi gołymi rękami; ubrani w łachmany, głodni, wyczerpani i wynędzniali, przebywają w swoich podziemnych jaskiniach w warunkach, których Europa nie zna od czasu okresu jaskiniowego" — pisze „Glasgow Herald".

Tak wygląda „demokracja społeczna w nowej Polsce". Słusznie na jej temat zauważył korespondent BBC, że omlet z czterech jaj nie może przesłonić nędzy szerokich mas. BBC zadaje sobie równocześnie pytanie: po co ten humorystyczny — (my powiedzielibyśmy: tragiczny) — wolny rynek? Dlaczego nie racjonuje się w

(Dokończenie na str. 2)

Nad basenem kanału gliwickiego, w miejscu dużego ongiś nasilenia handlu zbożem, świeci dziś pustką wielki elewator zbożowy.

(Dokończenie ze str. 1)

Polsce wszystkich artykułów spożywczych? „Rząd" p. Bieruta odpowiada na to, że ilość kupujących na wolnym rynku jest nieznaczna. Zdaniem tych władz, zniesienie wolnego rynku przyczyniłoby się tylko do wytworzenia tajnego ukrytego handlu pokątnego. W związku z tym przypominają się obrazy z życia pierwowzoru wszelakiej doskonałości społecznej — Rosji Sowieckiej, gdzie „po komierczeskim cenam" (dosłownie: po cenach handlowych, a naprawdę: horrendalnych) można zawsze wszystko dostać, choć równocześnie szerokie masy ludności odczuwają braki najbardziej elementarne; gdzie restauracje „Inturista" (instytucja obsługująca zagranicznych wycieczkowiczów) reprezentują niebywały luksus, ale do których to restauracji zwykły obywatel sowiecki w ogóle nie jest wpuszczany; gdzie „spectorgi" (sklepy specjalne) sprzedają enkawudzistom towary za ułamek ceny, którą musi płacić zwykły człowiek.

Nie możemy — w ramach szczupłego artykułu wchodzić w bardziej szczegółową analizę tego społecznie i politycznie odrażającego zjawiska jakim jest czarny rynek w... uspołecznionym gospodarstwie ludzkim. Raczej zadajmy sobie pytanie: jakie są przyczyny głodu w Polsce — w kraju rolniczym?

Przyczyn jest kilka. Wymienimy najważniejsze:

1) Wojna i okupacja niemiecka przetrzebiły okrutnie ludność, wyludniły wieś i spowodowały ogromny brak rąk roboczych;

2) Wojna i okupacja niemiecka w nieprawdopodobnie wysokim stopniu zniszczyły transport, stan pogłowia zwierzęcego, maszyn i narzędzi rolniczych, wszelkie zapasy, mające znaczenie dla rolnictwa oraz budynki gospodarskie. Zniszczyła także — co jest rzeczą bardzo ważną — dreny;

3) Dwukrotna okupacja sowiecka wraz z rujnującemi ludność deportacjami i innemi wymuszonemi formami migracji zrujnowała gorspodarstwo polskie;

4) Czynnikiem niszczącym zdolność aprowizacyjną rolnictwa jest systematyczna grabież, dokonywana przez Bieruta na gospodarstwie chłopskim w formie wyciągania zeń wszystkich niemal soków żywotnych na rzecz „państwa";

5) Wobec braku artykułów konsumpcyjnych i braku zaufania do pieniądza chłop nie jest zainteresowany w sprzedaży swych produktów na rynku miejskim;

6) Dezorganizacja przemysłu powoduje bardzo niską produkcję nawozów sztucznych i narzędzi rolniczych;

7) Ziemie zachodnie, „przyłączone do Polski", nie zostały dostatecznie wykorzystane gospodarczo, zaś dużą szkodę przyniosło Polsce oderwanie od niej żyznych ziem krespwych, zwłaszcza Małopolski wschodniej;

8) Źle i demagogicznie przeprowadzona reforma rolna zniszczyła wszystkie większe ośrodki rolnicze i w znacznej mierze przyczyniła się do odczuwanego obecnie głodu;

9) Rosja Sowiecka, eksploatując Polskę pod każdym względem nie okazuje jej żadnej istotnej pomocy dla zmniejszenia dzisiejszego głodu, choć propaganda moskiewsko-warszawska huczy bezustannie na temat tej „pomocy".

W ubiegłym miesiącu radio warszawskie podało, że rząd radziecki uchwalił przekazać milion ton pszenicy Polsce i innym krajom potrzebującym (Francja, Rumunia, Finlandia).

Moskwa podała: „Na wiosnę br. ZSRR odsprzedał Polsce 200 tys. ton ziarna siewnego wobec 50 tys. ton, które Polska mogła zmobilizować na rynku wewnętrznym. Ziarno to stało się tym ważniejsze, że spodziewane transporty UNRRA narazie zawiodły. „Premier" polski Osóbka-Morawski oświadczył niedawno, że ZSRR stale przychodzi z pomocą żywnościową Polsce, „czego Polska nigdy nie zapomni".

Całą tę sprawę „pomocy" należy traktować z najwyższą nieufnością tak jak to na przykład uczynił amerykański minister aprowizacji Anderson, który oświadczył na posiedzeniu komisji reprezentantów: „Coś się stało z temi dostawami: albo zostały zarekwirowane przez Rosjan, albo są strzeżone przez nich. Nie umiem na to odpowiedzieć. Nie mam zupełnej pewności, ale jest oczywiste, że 200 tys. ton dostaw, które Polacy mieli do swej dyspozycji, wyślizgnęło się spod ich kontroli oraz 140 tys. ton z tych zapasów zostało oddanych do dyspozycji Rosji".

Nie będąc skrępowany zwyczajami dyplomatycznemi, tygodnik angielski „The Tablet" nie mówi o „wyślizgiwaniu się" darów z rąk polskich, lecz stwierdza — odnośnie dostaw UNRRA dla Polski — że część ich jest bzpośrednio kierowana do Rosji, część zostaje prywatnie rozkradziona i przesiąka na czarny rynek, zaś część — zmagazynowana przez władze warszawskie poza wiedzą ludności.

W każdym razie — przy gospodarczej ocenie „darów sowieckich dla Polski", których p. Osóbka — „nigdy nie zapomni" — należy odliczyć to, co sowieckie wojska okupacyjne zjadają w Polsce. Nie znamy cyfr, dotyczących tej konsumpcji, ale wobec wielkiej liczebności armii sowieckiej w Polsce oraz „polskiego" korpusu bezpieczeństwa wewnętrznego można stwierdzić, że bardzo wielki jest rozmiar w grabieży zboża polskiego przez Rosję.

Jak stwierdza raport specjalnej podkomisji Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych, która w sierpniu, wrześniu i październiku ub. r. zwiedziła kraje rosyjskiej strefy wpływów — rozdział dostaw UNRRA-y odbywa się w tej strefie na zasadach politycznych: pomoc otrzymują przede wszystkim komuniści.

Co się zaś tyczy politycznej oceny sprawy głodu w Polsce, to należy uświadomić sobie dwa momenty:

Po pierwsze głód ten, jako w znacznej mierze związany z polityką władz okupacyjnych, stanie się dodatkowym czynnikiem wzrostu nienawiści Polaków do okupanta. Po drugie — głód ten w przyszłości niewątpliwie wykorzystany zostanie przez reżim Bieruta jako argument, że obecne indywidualistyczne formy gospodarki rolnej w Polsce są nieodpowiednie, co stanowić będzie zarazem jedno z uzasadnień wprowadzenia prędziej czy później kołchozów. Jak to bowiem stwierdził ostatnio w Rio de Janeiro Herbert Hoover „polityką komunistów we wszystkich krajach jest utrudnianie dostarczania żywności głodującym i wywoływanie w ten sposób chaosu dzięki któremu mogą oni łowić ryby w mętnej wodzie".

25-lecie kapłaństwa J.E. ks. biskupa polowego JÓZEFA GAWLINY

Dnia 24 czerwca 1946 r. J.E. Ks. Biskup Polowy i Ordynariusz Uchodźców Polskich — Józef Gawlina obchodził 25-lecie kapłaństwa. Osoba ks. biskupa Gawliny dobrze jest znana wśród naszego wojska, przypominamy więc tylko niektóre fakty z jego życia. Urodzony we wsi Strzybnik w powiecie raciborskim w roku 1892 pochodzi z rodziny rolniczej, zahartowanej w walce o polskość. W czasie pierwszej wojny światowej był dwukrotnie ranny we Francji. Po wojnie otrzymał święcenia kapłańskie i pracował przez szereg lat w diecezji śląskiej. Jako ruchliwy działacz Akcji Katolickiej wydaje poczytny tygodnik religijny „Gość Niedzielny". Później episkopat polski powołał go do Warszawy, gdzie był założycielem i pierwszym dyrektorem Katolickiej Agencji Prasowej. W roku 1929 wraca na Śląsk. Obejmuje w Chorzowie ogromną parafię ludności robotniczej. W roku 1933 Stolica Apostolska mianuje go biskupem polowym w miejsce ks. biskupa Galla. Na tym ważnym stanowisku, które szczególnie często stawia wobec problemów zazębiania się zagadnień kościoła i państwa, ks. biskup Gawlina wykazał głębokie wyrobienie i zrozumienie, harmonizując zawsze w sposób właściwy interesy państwa i kościoła.

We wrześniu 1939 r. ks. biskup Gawlina był ranny w czasie bombardowania Łucka, a jego kapelan ks. Drużbacki zginął od bomby. Na uchodźctwie ks. biskup Gawlina zorganizował duszpasterstwo Polskich Sił Zbrojnych oraz został mianowany przez Ojca Świętego ordynariuszem uchodźców polskich.

W kwietniu 1942 r. ks. biskup Gawlina udał się do Rosji. Był pierwszym biskupem katolickim wpuszczonym urzędowo na teren Rosji Sowieckiej. Pobyt wśród Polaków w Rosji — to specjalny, może najpiękniejszy, rozdział działalności kapłańskiej biskupa Gawliny. Msza św., odprawiona przez niego na spalonej przez słońce pustyni Uzbekistanu dla rzesz wynędzniałych Polaków — to wspomnienie, które żyje w duszach wielu z nas.

Towarzysząc nieodstępnie oddziałom wojska polskiego we Włoszech znalazł biskup Gawlina czas na zajęcie się zorganizowaniem dwóch seminariów duchownych: w Beirucie i Rzymie oraz na zorganizowanie prasy katolickiej, idącej z duchem postępu.

Z okazji jubileuszu 25-lecia kapłaństwa ks. biskupa Gawliny niechaj z serc żołnierskich płynie serdeczna modlitwa o błogosławieństwo w pracy Jego dla dobra Polski — w służbie Bogu.

WYDARZENIA W PALESTYNIE

W ostatnich dniach władze brytyjskie w Palestynie przeprowadziły szeroko zakrojoną akcję pacyfikacyjną skierowaną przeciwko elementom żydowskim. Jakkolwiek rząd brytyjski oświadczył, że nie ma zamiaru likwidować Agencji Żydowskiej, to przypuszczalnie działalność jej będzie poważnie ograniczona. Ze zmniejszeniem się jej wpływów na masy żydowskie łączyć się będzie wzrost siły żydowskich elementów skrajnych, które od dawna atakowały politykę Agencji w stosunku do Anglii.

Ostatni krok brytyjski w Palestynie znajdzie też swój oddźwięk w stosunkach brytyjsko-amerykańskich, czego dowodzi oświadczenie prezydenta Trumana, zawierające między wierszami krytykę postępowania angielskiego oraz oświadczenie Departamentu Stanu, że rząd amerykański nie był poprzednio powiadomiony o zamierzonej akcji. Dalsze źródło rozbieżności między W. Brytanią a St. Zjednoczonymi co do sprawy żydowskiej leży w ustosunkowaniu się obu rządów do zaleceń komisji badawczej. Prezydent i rząd amerykański podtrzymują w dalszym ciągu postulat sprowadzenia do Palestyny natychmiast 100 tys. żydów przebywających w obozach w Niemczech, podczas gdy przedstawiciele rządu brytyjskiego uważają, iż krok taki pogorszy jeszcze obecną sytuację polityczną zarówno w Palestynie jak i na całym Środkowym Wschodzie, nie przynosząc jednocześnie żydostwu europejskiemu poważniejszej ulgi.

Żydzi w Palestynie i w całym świecie uznali krok angielski za akcję przekraczającą znacznie potrzeby pacyfikacji, uważają oni, że nie jest to tylko akcja zmierzająca do uśmierzenia terroryzmu, ale próba likwidacji osiągnięć syjonistycznych i obalenia podwalin żydowskiej siedziby narodowej. Organizacje żydowskie w Palestynie postanowiły wszcząć akcję biernego oporu w stosunku do rządu palestyńskiego, o ile aresztowani nie zostaną zwolnieni. Żydzi w Ameryce i Anglii, dzięki swym wpływom politycznym, wszczęli akcję przeciw rządowi brytyjskiemu i mogą przysporzyć mu niemałych trudności, zarówno na terenie międzynarodowym jak i w łonie jego własnego stronnictwa. Trzeba bowiem przypomnieć, że w latach kiedy Partia Pracy nie była u władzy, zawsze gorąco popierała dążenia syjonistyczne.

Ogół żydostwa światowego, przeżywający straszliwą tragedię bestialskiego wymordowania 6 milionów Żydów, traktuje sprawę Palestyny z olbrzymim napięciem uczuć narodowych i religijnych. Setki tysięcy Żydów na kontynencie europejskim, nadal odczuwają skutki zakorzenienia się teorii nienawiści rasowej, łączą z Palestyną jedyne nadzieje lepszego jutra. W tych warunkach każdy kto utrudnia im dostęp do tej ziemi obiecanej uznany jest przez Żydów za wroga bez względu na jego stosunek do narodu żydowskiego i ideałów syjonistycznych w przeszłości.

Istotnym motywem niechęci brytyjskiej do zaleceń komisji jest obawa pogorszenia stosunków ze światem arabskim w chwili, kiedy świat ten kuszony jest codziennie z Moskwy coraz to nowymi obietnicami i perspektywami. Z wiadomości o przebiegu rokowań w sprawie zmiany traktatu brytyjsko-egipskiego wynika, iż polityka brytyjska zmierza do objęcia całego Środkowego Wschodu regionalnym paktem obronnym, który łączyłby wszystkie te kraje z W. Brytanią i zapewniał jej dostęp do baz wojennych na tym terenie w razie wybuchu wojny. W tym stanie rzeczy Anglia nie chce obecnie zrażać sobie Arabów i to w takiej sprawie, która jest dla świata arabskiego szczególnie drażliwa.

Wbrew oczekiwaniu Arabowie palestyńscy nie przyjęli z wielkim entuzjazmem ostatnich antyżydowskich posunięć brytyjskich. Uważają oni, że akcja ta jest bardzo spóźniona i przeprowadzana z niedostatecznym zdecydowaniem; twierdzą, że władze brytyjskie używały daleko ostrzejszych sposobów dla stłumienia rewolty arabskiej w latach 1936/39. Ponadto Arabowie obawiają się, że za tym krokiem brytyjskim mogą kryć się przygotowania do ustępstw na rzecz Żydów. Pamiętają oni, że po rozwiązaniu Najwyższego Komitetu Arabskiego w roku 1939 i po akcji pacyfikacyjnej przeciwko Arabom, przyszło ogłoszenie Białej Księgi, będącej największą — jak dotychczas — koncesją poczynioną przez Anglię na rzecz tezy arabskiej.

Arabowie chcą, ażeby obecna akcja stanowiła jedynie początek, po którym przyjść musi całkowite rozbrojenie Żydów, rozwiązanie Agencji Żydowskiej oraz zupełne wstrzymanie imigracji żydowskiej i nabywania przez Żydów ziemi. Ale i to w przekonaniu Arabów nie przyniesie jeszcze rozwiązania problemu Palestyny. Celem ich dążeń jest przeprowadzenie wolnych wyborów i stworzenie rządu mającego poparcie większości mieszkańców, a więc rządu arabskiego. Nie trzeba dodawać, że gdyby do tego doszło to pierwszym krokiem takiego rządu byłoby wysunięcie żądania natychmiastowej ewakuacji wojsk brytyjskich z kraju, który stanowi już dziś główną, a wkrótce będzie także jedyną, brytyjską bazą obronną na Śr. Wschodzie.

Taki rozwój wydarzeń nie leży na linii interesów brytyjskich i dlatego rząd brytyjski chce utrzymać dotychczasową zasadę władzy mandatowej, jako czynnika nadrzędnego zarówno nad Żydami jak i Arabami. Ta konieczność utrzymania równowagi wpływa na wszystkie decyzje, jakie w tej sprawie podejmowane są w Londynie. Niewątpliwie obecnie w łonie gabinetu skrupulatnie rozważane jest, czy więcej zła przyniesie wykonanie zaleceń komisji anglo-amerykańskiej, czy też nie wykonanie ich. Od tego, który pogląd zwycięży — zależy linia polityki brytyjskiej w Palestynie na najbliższy okres. Prawdopodobnie decyzja nie będzie oznaczała całkowitego przyjęcia lub odrzucenia takich czy innych zaleceń, będzie polegała na wyjściu kompromisowym.

4 - 7 - 1943

Gdy na wiadomość o śmierci Władysława Sikorskiego, premiera rządu i Naczelnego Wodza, w walczącej Warszawie podziemnej z narażeniem życia rozlepiano żałobne klepsydry — w Londynie, w Izbie Gmin (7.7.43) Winston Churchill powiedział:

„Wyrażamy współczucie narodowi polskiemu, wyrażamy wiarę w jego niezniszczalne, wieczne wartości i oświadczamy nasze postanowienie: praca generała Sikorskiego jako premiera rządu i Naczelnego Wodza nie pójdzie na marne".

ATOMOWE MANEWRY

Bomba atomowa, zrzucona na siedemdziesiątkilka starych okrętów i statków w pobliżu laguny Bikini, nie wywołała tak strasznych skutków, jak to przepowiadali niektórzy uczeni i łowcy sensacji. Nie spowodowała ona ani trzęsienia ziemi ani gwałtownych spiętrzeń fal oceanu, ani żadnych zaburzeń atmosferycznych. Co więcej jeszcze — nie poczyniła ona tak wielkich, jak to przewidywano, szkód bezpośrednim obiektom bombardowania. Tylko kilka statków handlowych i kilka mniejszych jednostek wojennych zatonęło. Niektóre z pozostałych odniosły większe lub mniejsze uszkodzenia, ale wiele innych nie odczuło żadnych skutków eksplozji.

Z depesz wielu setek specjalnych korespondentów przebija nuta rozczarowania: grzmot wybuchu był mało donośny, blask ognia niezbyt silny, tumany dymu dość szybko się rozwiały. Jeszcze bardziej zadziwiające były następne doniesienia: główny cel ataku, zgórą 40 lat liczący pancernik amerykański „Nevada", pomalowany dla ułatwienia celności zrzutu na jaskrawo czerwony kolor — nie tylko nie doznał żadnych obrażeń, ale umieszczone na jego pokładzie kozy, na których organizmach miano badać skutki radioaktywnej działalności substancji powstałych z wybuchu, nadal spokojnie chrupały siano, jakby w ogóle nic się nie stało.

Z tych faktów publicyści wyciągnęli następujące wnioski: albo siła niszczycielska bomb atomowych jest przereklamowana, albo do eksperymentu celowo użyto bomby słabego kalibru. Tę ostatnią tezę zdaje się potwierdzać oświadczenie kierującego całą operacją adm. Blandy. Stwierdził on, wbrew doniesieniom poprzednim, że bomba użyta w Bikini była słabszą od bomby zrzuconej na japońskie miasto Nagasaki, która była bezpośrednim powodem kapitulacji Japonii. Obradujący w Oxfordzie członkowie brytyjskiej komisji dla badań atomowych, stwierdzili, że — w rzeczywistości nie wiadomo, jaki był właściwie rozmiar bomby.

Wszystkie te pierwsze wrażenia mogą okazać się mylne, trzeba bowiem pamiętać, że chodzi tu o doświadczenia naukowe niesłychanie skomplikowane, których wszystkie tajemnice zna tylko nie wielkie grono ludzi. Tylko oni znać będą wszystkie efekty wybuchu, jakie zarejestrowane zostały przez kilkadziesiąt tysięcy różnych skomplikowanych aparatów. Dlatego ocenianie tych eksperymentów na podstawie chwilowych wrażeń może doprowadzić do myl-

(Dokończenie na str. 6)

NAUKA NARZĘDZIEM POLITYCZNYM TOTALIZMU

Pośpiesznie dokonywane przemiany wszelkich dziedzin życia w Polsce nie oszczędzają niczego, próbują wtargnąć nawet do tych kategoryj pracy ludzkiej, które — zdawałoby się — najzupełniej nie nadają się do z urzędu narzucanych reglamentacyj. Centralizowanie i na sowiecki ład dokonywane normowania stają się plagą życiową, nieznośnym ciężarem kładącym się na wszelkie przejawy polskiej egzystencji. I to nie tylko w dziedzinie gospodarki, procesów socjalnych czy politycznych. Obserwuje się ostatnio próby i daleko sięgające zamierzenia brutalnego unormowania twórczości literackiej i naukowej. Zajmiemy się nieco bliżej tą ostatnią dziedziną, gdyż od niedawna kierowana przez warszawską „górę" prasa rozpoczęła w tej materii gwałtowną kampanię.

Zaczęło się niewinnie od uwag na temat „niewspółczesności" i niedostosowania się do bieżącej rzeczywistości zakładów akademickich, Akademii Umiejętności, kolegiów profesorskich oraz na temat socjalnego pochodzenia studiującej w wyższych szkołach młodzieży. Że profesorowie tkwią w średniowiecznych tradycjach; że istnieje naukowy cenzus (matura liceum) dla studiujących; że szereg nauk, jak socjologia, prawo, historia itd., nie ma „uwspółczesnionych" profesorów; że młodzież nie posiada „demokratycznych" zainteresowań; że — wreszcie — zarówno wykładający jak i słuchacze — w sposób drastyczny obstają przy autonomii szkół wyższych. Wypowiedzi czołowych mężów „rządu" warszawskiego, nie wykluczając nawet dygnitarzy resortu oświaty, obiecują szybkie reformy, reformy radykalne. Niektóre już zrealizowano, np. kursy przygotowawcze przy uniwersytetach, które pozwolą na zniesienie cenzusu wymaganego obecnie od wstępujących studentów; hojnie i lekko daje się veniam studiorum; pojawiać się zaczynają nowe powagi naukowe w wyższych uczelniach i w nadzorze szkolnym administracji oświaty.

Oto niedawno zdarzył się nieprzyjemny wypadek. Do jednego z kuratoriów zachodnich powołano w charakterze wizytatora, a więc czynnika kierującego wychowaniem i nauczaniem w licznych szkołach okręgu szkolnego, p. Grzegorza Nawarrę. Jedną z pierwszych rzeczy, jakiej ów wizytator dokonał, było napisanie podręcznika literatury polskiej i historii polskiego języka. I tu wyszło na jaw, że autor, wizytator i pseudo-uczony, pisze sam w ten sposób, że nawet mało wrażliwa na tym punkcie kontrolowana przez czynniki administracyjne prasa nie mogła być obojętną, ani lekceważyć dokonanego wyczynu naukowo-literackiego „pana wizytatora".

Poza innymi tym podręcznikiem dla liceów (!!) zajęło się bliżej krakowskie „Odrodzenie" w jednym z numerów z maja br. Recenzent, S. Pappée, potępił podręcznik i wykazał, że może on tylko przynieść szkodę młodzieży z racji ignorancji autora i być złym przykładem form języka i stylu. A p. Nawarra miał wielkie zamierzenia. Pragnie on „treścią i formą spolonizować rozum, serce i wolę... wznieść Naród na wyżyny kultu języka narodowego i przygotować epokę cywilizacji polskiej w Europie".

Nie ma co mówić, zamierzenia nie byle jakie! W wykonaniu tych zadań autor tego bombastycznie auto-reklamowanego podręcznika pisze w ten sposób, że recenzent zmuszony jest wytknąć mu szereg błędów faktycznych (do najblanszych może należą opisy Litwy przez... Malczewskiego w „Marii"), pomijając już styl p. Nawarry. Takie kwiatki, jak: powrót Mickiewicza na „ojczyste zagony wawelskie" lub „spełnianie obok powieści urzędu kuratora" należą do zwykłych ozdób tego literackiego ogródka. Mimo iż niebezpiecznie jest obecnie wchodzić w zatarg z „dygnitarzami" warszawskimi recenzujący „Literaturę" S. Pappée stwierdza, iż jest „zaniepokojony sensem i stylem" pana wizytatora Nawarry, który zresztą, jak sam podaje, jest „już znanym" autorem licznych powieści, artykułów, rozpraw i... dramatów. Pewne jest jedno: istnienie pp. Nawarrów na stanowiskach wizytatorów szkół i autorów lansowanych podręczników jest istotnie dramatem, jeśli nawet nie tragedią, obecnego szkolnictwa w Polsce.

■

Kreowanie podobnych do Nawarry oświatowych i naukowych działaczy nie wystarcza jednak twórcom obecnej polskiej rzeczywistości. Okazuje się przecież, że mimo Majdanka, Oświęcimia, Oranienburga czy Dachau, mimo więzień, łagrów, zsyłek i sowieckich kaźni — ocalała w Polsce dość duża liczebnie grupa uczonych, profesorów, badaczy. Nie jest do pojęcia dla dygnitarzy administracji warszawskiej, by pozostawić ich w spokoju, dać im możność pracy naukowej, zapewnić egzystencję — choćby skromną na modłę sowiecką — a nie wyznaczyć im... normy, nie skolektywizować, nie zaprząc do „planowanej" pracy, pracy zreglamentowanej, sharmonizowanej z potrzebami... nowej polskiej „demokracji".

I tu zaczyna się, na razie przygotowawcza co prawda, robota, której końcowe rezultaty mogą się stać bardzo niebezpieczne dla całości polskiej wiedzy i nauki. Swoboda badań naukowych, wolności dociekań — są potrzebne tylko dla umieszczenia w „obowiązującej" Warszawę konstytucji. W rzeczywistości zaś zamierza się te sprawy urządzić inaczej, według wzorów sowieckich. Zaczynają się coraz częściej pojawiać artykuły, rozprawki na temat „nauki i uczonych" (Listowski w „Odrodzeniu"), o „centralnym organizowaniu badań naukowych" (J. Barski), wreszcie o „organizacji nauki w Związku Radzieckim" (L. Sawicki). Widać już wyraźnie, dokąd się zmierza, coraz to przejrzyściej występuje myśl przewodnia zamierzonych dekretów. Autorzy tych publikacyj stwierdzają bez ogródek, że: „konieczne jest u nas planowanie naukowe", „celowe gospodarowanie i rozdział specjalistów"; że potrzebny jest naukowy „ośrodek o charakterze centralnym", niezbędna „koordynacja badań naukowych" oraz „podział najpilniejszych zadań między różne nasze ośrodki badawcze".

Demagogia argumentacyjna autorów tych wypowiedzi jest wprost rozbrajająca. Wywodzi się przeto najpierw, że jest najlepiej, gdy uczeni nie rozpraszają swych wysiłków, lecz pracują według z góry przyjętego i zatwierdzonego planu, wykorzystując „w określonym czasie wyznaczone zadania". A więc — plan i norma!

Wysiłki i prace indywidualne — zdaniem reformatorów polskiej nauki — mogą być czasami szkodliwe dla państwa, mogą przenikać do wiadomości niepożądanych czynników, obcych państw naprzykład, mogą się stać... „groźną bronią przeciwko demokracji", a temu trzeba zapobiec. Trzeba ponadto, by każdy uczony dał z siebie najwięcej, by nie marnował czasu, by „wyrabiał" tyle, ile zaplanowano. A więc — wynalazki na akord, według normy! Wygląda to nieco na groteskę,

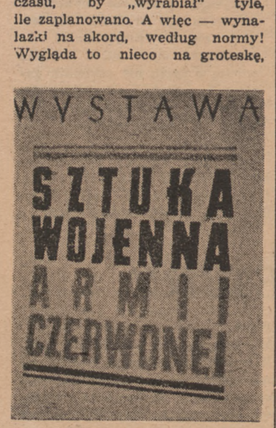

Afisz reklamujący dziś w Warszawie wystawę armii czerwonej — oto ilustracja procesu narzucania niewolniczego zachwytu dla wszystkiego co idzie z Moskwy.

ale może się stać groźne i niebezpieczne.

Nie brak też innych „argumentów". Jeden z autorów, J. Barski, powołuje się na opinie uczonych angielskich, którzy (Armstrong, Oliphant, Fleming) na jednej z konferencyj zainicjowanych przez British Association przed kilku miesiącami w Londynie istotnie godzili się na pewną koordynację badań poszczególnych uczonych i ustalenie planowej kolegialnej pracy, tzw. team-work, (praca zespołowa). Zapomina, czy też przemilcza jednak, że tam była mowa o zastosowaniu wyników badań do przemysłu, nie zaś o czystych badaniach naukowych. A jeśli nawet mówiono o pewnej centralizacji dociekań laboratoryjnych, to szło nie o narzucony plan wynalazków i ich normy, lecz o ześrodkowanie wyposażeń i środków, które nie byłyby dostępne dla jednostki.

Niektórych z propagatorów tej akcji „scaleniowej" fascynuje przykład sowiecki. L. Sawicki np. mówiąc o organizacji nauki w Związku Sowieckim, zachłystuje się z zachwytu nad osiągnięciami scentralizowania nauki i badań.

Celem wciągnięcia polskich uczonych do nowych sposobów „naukowej pracy", zachęca się ich mirażem korzyści osobistych. Obecnie, gdy dla uczonego, czy zwyczajnego profesora, otrzymującego 5.000 zł. miesięcznie a tym bardziej dla asystenta przy katedrze lub w instytucie o gaży 2.000 zł., kupienie butów staje się poprostu katastrofą życiową—argument ten nie jest bez znaczenia. A przecież w Sowietach zasada planowości umożliwia kumulację stanowisk. Można być np. profesorem, a jednocześnie dyrektorem lub pracownikiem zakładu badawczego, pracować w jakimś jeszcze instytucie — i za każdą z czynności pobierać oddzielne przewidziane dla tej funkcji wynagrodzenie, bowiem „dla władzy przełożonej decydującym momentem jest plan i termin wykonania, nie zaś formalnie obowiązujący wymiar czasu pracy w instytucji" (Sawicki).

Przewijają się co prawda w inspirowanej przez Sowiety prasie krajowej lekkie zastrzeżenia, że w nauce centralizujący „czynnik urzędniczy nie może decydować", że „przy pracy badawczo-naukowej nie można mówić o zamówieniach" — ale zwycięża doktryna centralizacji; musi być wzięty rozbrat z indywidualizmem, musi zwyciężyć kolektyw, plan, norma.

To nic, że cytowani uczeni angielscy są przerażeni upadkiem niemieckiej nauki, zaprzągniętej do rydwanu „celów wyższych" i podporządkowanej nadrzędnemu kierownictwu charakteru urzędniczego: w Sowietach ta rzecz się „udała". I jako przykład mający zachęcić pracowników naukowych podaje się „seryjną budowę wyrzutni pocisków rakietowych zwanych katiuszami" (dosłownie!!), co byłoby niemożliwe bez scentralizowania pracy uczonych i wynalazców, bez kolegialnej pracy i państwowego zamówienia. Zaiste, zachęcający argument!

Ostatecznie planuje się w Polsce stworzenie podsekretariatu stanu, najlepiej przy Radzie Ministrów, gdzie scentralizowanoby wszystkie sprawy nauki i badań, zarządzanie instytutami badawczymi, planowanie itp., na podobieństwo odpowiedniej organizacji w Rosji Sowieckiej, gdzie te sprawy są wyjęte spod kompetencji resortu oświaty i podlegają Radzie Ministrów Związku. Aparat rosyjski działa, co prawda, pod egidą Akademii Nauk ZSRR, ale ostatnią instancją jest czynnik polityczno-urzędniczy.

Dziś, gdy w Polsce „większość uczonych jest tak przeciążona pracą bieżącą, której dużą część stanowią kłopoty administracyjno-materialne, że... nie zawsze znajduje czas i ochotę na zastanawianie się nad zagadnieniami natury ogólnej" — pomysły reformatorów organizacji pracy naukowej mają wszelkie szanse realizacji. Na opór faktyczny napotykać nie mogą. Jeśli nawet pojawią się głosy krytyczne, to sposoby ich uciszania są skutecznie wypróbowane. Można się przeto niezadługo spodziewać jeszcze jednej reformy, która znów Polskę odsunie od Zachodu, która upodobnić ma ją bardziej jeszcze do Rosji i zbliżyć do niej.

To, że nauka polska, pełna pięknych tradycyj i zasług dla cywilizacji światowej ucierpi, zubożeje i straci rozmach, którego nabierała przed wojną; że imiona polskich uczonych zanikną w odgłosach wiedzy światowej; że rodzima twórczość będzie wykoszlawiać się i wysychać — to wszystko dla „reformatorów są rzeczy nieważne.

Dla zwycięstwa doktryny, dla zespolenia Polski z Sowietami, dla zatarcia wszelkiej odrębności i różnic między nimi — każda droga jest dla nich dobra i właściwa. A skutki zamierzonej reformy mogą być bardzo szybkie.

S.

SPOTKANIE Z AZJĄ

Pod powyższym tytułem zamieszcza wychodzący w Zurychu wielki tygodnik „Die Weltwoche" wrażenia swego wysłannika do Wiednia. Interesujący reportaż swajcarskiego dziennikarza podajemy niemal w całości.

„Austria nie próżnuje. Nie wyobraża pan sobie, czego tu już dokonano" — rzekł mi radca dawnego urzędu kanclerskiego, pracujący obecnie w skromnym pomieszczeniu, którego naprędce zaimprowizowane urządzenie nosiło wyraźne ślady poniewierki. „Gdyby pan widział, jak to biuro wyglądało po oswobodzeniu — ciągnął dalej. Pewni ludzie wszystko tu zniszczyli, połamali, wywieźli..."

— Ma pan na myśli Rosjan?

— Mówię wyraźnie: p e w n i l u d z i e.

Były radca uśmiechnął się smutno. — Widzi pan, ja nie chciałbym, aby pewnego dnia przed moim biurem zatrzymał się samochod, aby mnie poproszono do środka i wywieziono tak, że na kilka tygodni zaginąłby po mnie wszelki ślad, że nie miałbym żadnej możliwości dania rodzinie znaku życia o sobie. Takie rzeczy bardzo często się powtarzają: nie mówię, żeby męczono, czy źle traktowano, można liczyć nawet na wydostanie się, ale pan przecież rozumie ilekroć rozsądniej jest unikać takich przykrości...

Wiedeń drży ze strachu. Każdy pamięta czasy Gestapo, jak wszyscy drżeli kiedy dzwonek zadźwięczał u drzwi. — Wciąż się jeszcze trzęsę ze strachu — powiedziała mi pewna młoda kobieta — nie zmieniło się nic od tego czasu.

„Jesteśmy tu poto, aby zaprowadzić demokrację" — odpowiedział mi wyższy oficer czerwonej armii, gdy zapytałem go o cele sowieckiej okupacji. Wynurzył to z niewinną i samo przez się zrozumiałą miną. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że w to, co sam powiedział, wierzy mocno.

Odnosi się dziwne wrażenie rozmawiając z bolszewikami. Miałem sposobność zetknąć się z dziennikarzami i oficerami, z wykształconymi, młodymi ludźmi; każdy z nich chełpił się szczególnym obiektywizmem, żaden z nich nie był członkiem partii komunistycznej. Rozmawialiśmy o Persji. Usiłowałem w ciągu godziny wyjaśniać im zaniepokojenie świata zachodniego rozwojem imperializmu sowieckiego. Ale moje argumenty nie trafiały do ich bezkrytycznej świadomości. Wszyscy oni razem jak jeden posługiwali się w rozmowach cytatami z przemówień i artykułów Stalina, a gdy usiłowałem poprzeć swe argumenty odpowiednimi faktami — odpowiedzią był uśmiech na twarzach mych rozmówców i spokojne stwierdzenie: „Nas o tym inaczej informowano". — Rozmowę kończyłem z uczuciem, że mówiłem do ściany, a nie do ludzi.

Swego czasu również bardzo wiele dyskutowałem z młodymi hitlerowcami. W rozmowach z nimi trzeba było także walczyć z zupełnym brakiem krytycyzmu. Ale była to walka bardziej namiętna, podczas której młodzi hitlerowcy potrafili operować argumentami i odparowywać ciosy. A gdy argumentów nie znajdowali, gdy czuli się słabi wobec mojej logiki, przeskakiwali gwałtowne. na inne zagadnienia lub przytaczali urywki z kanonów partyjnych czy przemówień swego fuehrera. Z Rosjanami sprawa ma się całkiem inaczej; indiwiduum takie nie pozwala w ogóle dopuścić do siebie jakiejkolwiek krytycznej myśli o absolutyźmie państwa ani poddawać w wątpliwość tego, co mu do głowy nakładziono. Jest chodzącą tubą Stalina. Tego rodzaju wypowiedzi mogą być właściwe tylko Azjatom.

Sowieccy oficerowie i szeregowi chodzą nadęci, na piersiach pełno połyskujących medali. Gęsto ilustrowane obwieszczenia na murach Wiednia propagują ich idee. Wkrótce się sowieckie parady wojskowe oraz głowy pierwszo-, drugo- i trzeciorzędnych „bohaterów Związku Sowieckiego". Na tle zburzonego Schwarzenbergpalast postawiony został ostatnio potężny pomnik na cześć żołnierzy sowieckich poległych za wolność. Wzniesiono go dokładnie na tym samym miejscu, gdzie stał pomnik sławiący imię hitlerowskich dostojników. A wydawana przez czerwoną armię „Oesterreichische Zeitung" przypomina żywo swoją bezsensowną propagandową paplaniną najlepsze czasy Goebbelsa. „Identycznie tak samo, jak narodowi socjaliści" — mówią wiedeńczycy.

Rosjanie nie rozumieją dlaczego wiedeńczycy ich nienawidzą. Chcąc wyjaśnić tę sprawę, zadawałem pytania różnym ludziom. Wszystkiemu winni narodowi socjaliści i ich wpływ na otoczenie — powiedział mi jeden. Drugi twierdził, że podłożem nienawiści jest odmienne pojmowanie porządku społecznego, lub obawa zamożniejszych obywateli przed komunizmem. Być może również wojna rozbudziła nienawiść do wszystkiego, co obce, nie swoje. Może nienawiść pochodzi z okresu walk; Rosjan, gdy wkroczyli do Wiednia, uważano za wrogów-zwycięzców, podczas gdy wkrótce po tym inni sprzymierzeni przybyli bez nienawiści, jako przyjaciele i goście. Różnica w zachowaniu się jednych i drugich była olbrzymia. Decydującym jednakże czynnikiem, który powoduje nienawiść do Rosjan, jest świadomość czegoś obcego, niepojętego w umysłach ludzi inaczej wychowanych, a przede wszystkim nieobliczalność, nie przebierającego w środkach elementu, z którym wiedeńczycy musieli się zetknąć.

W owych dniach najazdu bolszewickiego wiedeńczycy przystroili się odświętnie na przyjęcie oswobodzicieli. Lecz już po pierwszych kilku dniach ich pobytu ten nastrój świąteczny prysnął bezpowrotnie. Z rozczarowania, jakiego doznali mieszkańcy Wiednia do dziś nie mogą się otrząsnąć. „Przeżycie było koszmarem, wrażenie zbyt potworne — rzekła mi pewna pani. Po kilku dniach pobytu Rosjan w Wiedniu miałam wrażenie, że to Azja wtargnęła do Europy".

W owych dniach grabieży i gwałtu Wiedeńczycy przeżywali niesamowite chwile. Rosjanie umieją to robić! Są to dziwaczni grabieżcy: rabują jednym mienie po to, by obdarzać nim innych. Są oni jak duże dzieci; zapijaczone i po zęby uzbrojone dzieci. Niekiedy w ich zwierzęcości odezwie się szlachetniejszy odruch: nigdy w kilku nie napastują jednej kobiety. Ale pojedyńczo dokonują gwałtów najordynarniejszych. Dzieci: pośród ognia walki włamują się do mieszkań, rzucają się na cywilne ubrania, wylewają na siebie flakony perfum i dalej szturmują z pistoletami w garściach. Zdarzały się rzeczy na myśl, o których najprostsi ludzie otrząsają się z obrzydzeniem.

„Wewnątrz leżały sienniki napchane słomą, piękne, miękkie sienniki" — opowiadał mi potrząsając głową portier jednego z barokowych pałaców w śródmieściu. — „Ale „ruski" nie spali na nich; legli na ziemi tu i ówdzie dokoła kolumn dziedzińca. Myli się w miskach klozetowych, a swoje naturalne potrzeby załatwiali gdziekolwiek pośród stylowych mebli i sof w salonie. I niech pan powie — czy to są ludzie?"

Wiedeński dowcip świetnie oddaje sens tego bestialskiego pochodu wschodniej kultury: „Są trzy gatunki stworzeń — mówią we Wiedniu — ludzie, zwierzęta i... Rosjanie".

Od owych czasów minął już rok. Wiele uległo zmianie na lepsze. Dyscyplina panuje surowsza, a do garnizonów ściągnięto wojsko w „lepszym gatunku". Niesmak jednakże został ten sam. Nie ma żadnego znaczenia fakt, że jest się Szwajcarem, gdy wypadnie zetknąć się z osobnikiem ubranym w wilczego koloru uniform i w futrzanej czapie na głowie. W ich umundurowaniu rzucają się w oczy duże braki: zły krój i obwisłość, co robi przykre wrażenie. Złote epolety i ciemno-zielone talerzowe kaszkiety oficerskie. Ich chód jest inny, galopujący — ruchy nie podobne do naszych.

Widziałem któregoś dnia grupę sowiecką zwiedzającą w grobowcach pokapucyńskich sarkofag cesarzowej Marii Teresy. — Ci prałudzie byli jakgdyby żywcem zdjęci z olbrzymiego obrazu. „Nędza i rozpacz". Postaciami swoimi przedstawiali największą atrakcję dla cudzoziemskiego widza w galerii najsłynniejszych obrazów. Wlokli się za przewodnikiem z wielką ciekawością przysłuchując się jego objaśnieniom, potakując głowami przed każdą figurą; nie zważali na odległość od oglądanego przedmiotu, jakby go chcieli przy okazji powąchać.

(Dokończenie w następnym numerze)

Katolicy francuscy o komuniźmie

Wiadomo już dostatecznie, że naczelnym niebezpieczeństwem cywilizacji jest komunizm, szerzony bądź to bezpośrednio przez czerwoną armię, trzymającą w żelaznych okowach większą część Europy, bądź pośrednio przez partie komunistyczne, buszujące dotychczas w krajach wolnych. Prym dzierży kompartia we Francji. Waga jej polega nie tyle na ilości mandatów jakie posiada ona w Zgromadzeniu Narodowym — choć i to nie jest bez znaczenia — ile na sympatii, jaką komuniści, jeśli nie komunizm, sobie pozyskał w opinii francuskiej. Istnieją na szczęście oznaki, że wpływy komunistyczne przekroczyły swój punkt kulminacyjny i zaczyna się odpływ. Wczoraj komuniści stanowili najliczniejszy klub w konstytuancie — w ostatnich wyborach nie udało im się utrzymać tej pozycji.

Jeśli tak się dzieje, to niewątpliwie dużą zasługę mają tutaj katolicy francuscy. Nie mamy w tej chwili na myśli ugrupowań politycznych, ale bardziej świat myśli. Publicystyka francuska z właściwą sobie wnikliwością chce sobie zdać sprawę z tego, czym jest komunizm, czym jest w istocie, jak się przedstawiają widoki Sowietów w Europie i w świecie. W miarę, jak się ta praca rozwija, otwierają się oczy. Opinia staje się powoli krytyczniejsza. Sympatie komunistyczne opadają.

W kwietniowym zeszycie żywo redagowanego czasopisma katolickiego „La Vie Intellectuelle" znajdujemy dziewięć artykułów poświęconych ZSRR, a nie są to jedyne głosy, zajmujące się komunizmem. Jezuickie „Etudes" i organ pewnej grupy młodych katolików „Esprit" oraz inne także pisma podają artykuły, ankiety, informacje, dotyczące komunizmu.

Z tych artykułów redakcja „La Vie Intellectuelle" wyprowadza następujące wnioski:

1) Komunizm nie dokonał w Rosji takiego dzieła perwersji jak nazizm w Niemczech.

2) Organizacja sowiecka, rozwijając kulturę mas, dopomogła Rosji uświadomić sobie — samą siebie.

3) Kultura idealistyczna została zabita.

4) Życie religijne istnieje tylko dzięki religijności ludu rosyjskiego i w tej mierze, w jakiej ją objął marksizm.

Nie trudno twierdzić, że dwa pierwsze punkty stoją bardzo mocno pod znakiem zapytania. Dwa drugie są niewątpliwie trafnie ujęte.

Artykuły francuskiej prasy katolickiej na temat komunizmu nie stoją na równym poziomie. Na czoło wybija się pierwszorzędny artykuł Włodzimierza Weidle pt. „Od jednej Rosji do drugiej, bilans rewolucji". Rzadko gdzie znajdujemy tak doskonałą analizę rewolucji bolszewickiej i konstrukcji ustroju sowieckiego. Stoi ona wyżej, trafniej ujmując przebieg rzeczy, naszym zdaniem, niż znana u nas książka Kucharzewskiego „Od Białego Caratu do Czerwonego", nie mówiąc już o przelicznych publikacjach na emigracji.

Podajemy z tego artykułu fragmenty dotyczące stosunku Sowietów do cywilizacji. Podajemy zaś dlatego, aby uprzytomnić czytelnikowi coraz lepiej co grozi Polsce pod najazdem bolszewickim, nie inaczej zresztą jak każdemu krajowi, gdzie panuje komunizm. Kultura sowiecka to zaprzeczenie wszelkich wartości nie-utylitarnych:

„Poddaje ona życie intelektualne metodom wysuszającym jego źródła. Zwalcza ona wszelką myśl niezależną, a sztukę chce sprowadzić do propagandy lub do czegoś, co można by nazwać statystyką ornamentowaną. Dla mentalności sowieckiej istnieje tylko to, co się da wymierzyć i dotykać: liczba, siła brutalna, dodawanie wysiłków stosownie do celów utylitarnych. Wolności nie ma, kontemplacja jest podejrzana, jakość ustępuje ilości, a za twórczość uznaje się tylko wynalazek techniczny i to w służbie obowiązkowej państwa i partii. Młodzież sowiecka jest wychowywana w adoracji maszynizmu i skuteczności metod gospodarczych. Bałwochwalstwo techniki to jedyna religia, jaka jest jej dozwolona, a Ford zapewne w jej oczach to bóg bezmała potężniejszy od Marksa.

Lat 30 najtroskliwszego wytępienia wszelkiego życia twórczego ducha nie pozostały bezskuteczne. Zapewne, nie wszystko jeszcze wykorzeniono, lecz to, co pozostało z burzliwych porywów literackich czy innych pierwszych lat rewolucji — kurczy się naocznie i oddawna już tego jest niewiele. Życie religijne nie wygasło, wydarzenia trzech lat ostatnich dowodzą tego bezsprzecznie, lecz ignoracja w tych rzeczach jaką państwo narzuca nowemu pokoleniu, jest tak wielka, że jeśli Rosja pewnego dnia stanie się na nowo chrześcijańska, może się to dokonać tylko na podstawie nowej ewangelizacji.

Wszelka nauka nie-utylitarna ...jest podejrzana. Filozofia jest zabroniona... Wszelkie nauki, dotyczące człowieka i historii ubrano w marksistowski kaftan bezpieczeństwa. W literaturze słabe echa humanitarne zanikają w powodzi produkcji reglamentowanej, standaryzowanej, ubogiej co do języka, wyobraźni i myśli, rzadko spotykanej w dziejach piśmiennictwa. Sztuki piękne powracają do świetności stylu oficjalnego, w malarstwie słynny „realizm socjalistyczny". Kultura pionowej dawnej elity rosyjskiej jest zburzona tak samo jak kultura poziomu ludu, której podstawa była moralna i religijna... Tym, którzy się zachwycają postępem nauczania powszechnego w Rosji Sowieckiej, należy przypomnieć, że analfabeta może mieć większą wiedzę o życiu niż czytelnik gazet i że szkoła powszechna dla wszystkich może doskonale iść w parze z barbarzyństwem powszechnym".

Oto obraz kultury proletariackiej ZSRR tak wnikliwie i realistycznie narysowany przez katolicką elitę intelektualną Francji.

I.

ATOMOWE MANEWRY

(Dokończenie ze str. 3)

nych wniosków. Za kilka tygodni eksperyment zostanie powtórzony. Tym razem bomba wybuchnie na poziomie oceanu i spodziewane jest, że spowoduje znacznie większe szkody, niż poprzednie. Ukoronowaniem wreszcie eksperymentu będzie trzeci zrzut, kiedy to bomba wybuchnie głęboko pod wodą, a — być może — skutki tego wybuchu będą najpotężniejsze.

Gdyby następne doświadczenia potwierdziły wyniki poprzedniego i gdyby okazało się, że bomba atomowa, stanowiąc wprawdzie broń niesłychanie groźną, nie posiada jednak siły mogącej unicestwić w krótkim okresie czasu całe życie na ziemi — miałoby to bardzo doniosłe znaczenie dla politycznej i militarnej sytuacji świata.

Przede wszystkim wykazałoby to niesłuszność tezy, że wszystkie dotychczasowe rodzaje broni: armia lądowa, marynarka i lotnictwo są wobec istnienia bomby atomowej przestarzałe i pozbawione wszelkiego znaczenia. Być może, wnioski będą akurat odwrotne. Dowódca floty brytyjskiej adm. Cunnigham, komentując pierwsze raporty z Bikini, powiedział, iż być może okaże się, że okręt wojenny jest najbezpieczniejszym schronieniem przed bombą atomową. Podkreślił ponadto, że sam fakt istnienia takiej bomby ogromnie zwiększa rolę lotnictwa. Toteż gdyby potwierdziła się teza o ograniczonej skuteczności bomb atomowych to zapewne problem, nad którym głowią się obecnie sztaby wszystkich wielkich armii świata, jak przygotować się do obrony w przyszłej wojnie, straciłby nieco na ostrości.

Jeszcze poważniejsze byłyby polityczne konsekwencje „zmniejszonego prestiżu" broni atomowej. W pierwszym rzędzie zamknięto by nieco usta tym wszystkim, którzy oskarżając St. Zjednoczone o tendencję do wykorzystania posiadanej tajemnicy dla monopolistycznego opanowania całego świata, jednocześnie tłumaczą każdą nową agresję sowiecką strachem przed tą bombą.

W istocie dla St. Zjednoczonych i całego świata demokratycznego nade wszystko ważne jest, aby tajemnica ta nie wpadła w ręce sowieckie lub innego reżimu totalistycznego. Niemożliwe jest bowiem wyobrażenie sobie, aby jakiekolwiek demokratyczne państwo świata użyło bomby atomowej dla wojny zaczepnej; natomiast jest pewne, że jeżeli broń taka znalazłaby się w posiadaniu Rosji — zostałaby użyta dla celów agresji. Nie łudźmy się. Jeżeli nawet kilku bomb atomowych nie wystarczy, aby zniweczyć życie na ziemi, to napewno wystarczą one, aby w przyszłej wojnie obrócić w perzynę wszystkie kontynenty świata i aby wszystkie miasta na kuli ziemskiej zamienić w kupę gruzów.

Nie można dziwić się Amerykanom, że przeprowadzili te manewry atomowe, które miały kosztować 500 milionów dolarów i były niewątpliwie najdroższymi manewrami w historii świata. Sam fakt, że konieczność przeprowadzenia takich manewrów powstała w niespełna rok po zakończeniu działań bojowych drugiej wojny światowej i w chwili kiedy istnieje już mająca zapewnić światu wieczysty pokój Organizacja Zjednoczonych Narodów — jest głęboko tragiczny. Dowodzi on, że mimo wygrania wojny, świat przegrał pokój.

Nadesłane wydawnictwa

Nakładem Wydawnictwa „Przez lądy i morza" ukazały się 2 broszury znanego poety i pisarza, kpt. Józefa Relidzyńskiego pt. „Dwa miasta" i „Rapsod Warszawy". Pierwsza z nich to poemat poświęcony dwom miastom bliskim sercu każdego Polaka; miasta te — to Wilno i Lwów. Drugi utwór pisany prozą to hymn na cześć bohaterskiej stolicy Polski. Oba utwory cechuje głęboki patriotyzm, charakteryzujący całą twórczość tego utalentowanego poety-żołnierza.

■

Ze Stanów Zjednoczonych otrzymaliśmy pierwszy numer Biuletynu Informacyjnego „Zrzeszenia Przyjaciół Żołnierza Polskiego" (Polish Soldier's Aid Ass'n). Zrzeszenie to, którego prezesem jest Józef Głowacki, a sekretarzem generalnym—Jerzy Laszkowski, ma na celu przyjście z pomocą zdemobilizowanemu żołnierzowi polskiemu. Adres Zarządu Głównego: **115, Noble Street, Brooklyn, New York, U.S.A.**

W POLSCE i O POLSCE

„PRZYJAŹŃ" POLSKO-SOWIECKA

W ostatnich czasach zarysowują się coraz większe starania i wysiłki władz warszawskich w kierunku sfabrykowania prosowieckiej opinii publicznej w Polsce. Jednym z głównych instrumentów w tej sprawie jest tzw. towarzystwo przyjaźni polsko-radzieckiej. W Warszawie odbył się przed kilku dniami pierwszy ogólnopolski zjazd tego towarzystwa, bardzo licznie obesłany, z udziałem delegacji sowieckiej z Moskwy. Na czele delegacji sowieckiej stało 2-ch profesorów, członkowie jej wygłosili w różnych miastach Polski szereg odczytów na tematy polityczne i kulturalne. Czynniki warszawskie zgotowały „gościom sowieckim" gorące przyjęcie, odpowiadające wszelkim wymogom propagandy, i omówiły z nimi szereg spraw, związanych z dalszym zacieśnianiem „przyjaźni" polsko-sowieckiej, co — jak zaznaczyła rozgłośnia moskiewska — wypływa zresztą z zawartego w międzyczasie układu w Moskwie, gdy bawiła tam „polska delegacja rządowa". Zarówno prasa rosyjska, jak i tzw. prasa polska podkreśla nie tylko wagę „sojuszu politycznego między dwoma zaprzyjaźnionymi krajami", ale także stwierdza istnienie „sojuszu serc, opartego na pogłębiającej się przyjaźni obu narodów".

Zjazdowi nadano rozmach bardzo szeroki. Poza przedstawicielami „stron" na posiedzeniach byli obecni również przedstawiciele dyplomatyczni Sowietów, Jugosławii i Bułgarii oraz przedstawiciele licznych organizacji politycznych, społecznych, a także wojska p. Żymierskiego.

Bardzo interesująca była przytem taktyka, zastosowana na zjeździe przez jego organizatorów. Naogół biorąc mówiono o zbliżeniu z Sowietami w płaszczyźnie kulturalnej i gospodarczej, w gruncie rzeczy jednak wypracowywano wciąż nowe wiązania polityczne pomiędzy Polską i Rosją, uzależniające pierwszą od drugiej. Szczery wyraz istotnym dążeniom dał tylko jeden mówca, a był nim „minister" Świątkowski, który wręcz powiedział, że działalność towarzystwa przyjaźni polsko - radzieckiej ma znaczenie przede wszystkim polityczne, a w dalszej dopiero mierze także kulturalne. Agent sowiecki, zamianowany przez Stalina polskim ministrem, oświadczył zarazem, że przyjaźń z Rosją Sowiecką jest podstawową zasadą istnienia wolnej Polski.

Na zjeździe rozlegały się też liczne głosy, wyprowadzające konieczność przyjaźni polsko - sowieckiej z nakazu wspólnej walki przeciwko niebezpieczeństwu niemieckiemu oraz z walki o trwały pokój. Ten sposób rozumowania politycznego jest, oczywiście, czystym produktem polityki sowieckiej. Front antyniemiecki Polski i Rosji nie może być bowiem podstawą przyjaźni Polski z Rosją, która nie uznaje suwerenności Polski. Tak samo nie może być wydajny żaden wspólny i abstrakcyjnie pacyfistyczny punkt widzenia tych dwóch krajów, skoro Rosja przez „pokój" rozumie legalizację własnej agresywności i rozbrojenie innych państw. Żywą ilustracją obłudy tej sowieckiej taktyki w konstruowaniu przyjaźni z Polską było wylądowanie w Warszawie samolotu, który przywiózł dziewięciu niemieckich zbrodniarzy wojennych, oskarżonych o „mordy i zsyłki ludności" przez tych, którzy sami systematycznie mordują i niszczą naród polski.

Zjazd towarzystwa przyjaźni polsko - sowieckiej zakończył swą pracę wydaniem apelu do szerokich mas ludności o pogłębianie i upowszechnianie tej „przyjaźni".

ILUSTRACJE PRZYJAŹNI

Władysław Zagórski, członek Polskiego Stronnictwa Ludowego, na którego czele stoi „wicepremier" Stanisław Mikołajczyk, skazany został przez sąd w Białymstoku na karę śmierci, po uznaniu go winnym przynależenia do organizacji terrorystycznej. W warunkach politycznych, które istnieją w tej chwili w Polsce, jest rzeczą oczywistą, że „wina" skazanego polega nie tyle na uprawianiu przezeń terroru, ile raczej na przekroczeniu ram koncesji opozycyjnej, udzielonej przez Stalina p. Mikołajczykowi. Ten wyrok śmierci jest znamienny, gdyż jest pierwszym bodaj tego rodzaju wyrokiem, który na łamach prasy warszawskiej był szerzej omawiany w powiązaniu z „winami" PSL.

P. Mikołajczyk wygłosił przemówienie, w którym przytoczył liczne wypadki stosowania terroru przez tajną policję. Oświadczył, że zebranie chłopskie w Szczecinie zostało rozpędzone. Zacytował przykład, że pewien wójt usiłował nakłaniać chłopów przymusem do wstępowania do rządowego stronnictwa ludowego, stosując jako przynętę rozdawanie ziarna siewnego, a grożąc opornym deportacją na Syberię. W tymże przemówieniu Mikołajczyk zarzucał tajnej policji podrzucanie fałszywych kart członkowskich PSL aresztowanym terrorystom, celem wykazania ich związku ze stronnictwem. O tym żałosnym przemówieniu „wicepremiera" i „szefa opozycji" donosi korespondent warszawski gazety „Evening Standard" pod charakterystycznym tytułem: „Terror policji polskiej".

„Times", pisząc o znanych oświadczeniach ministerstwa bezpieczeństwa w sprawie zamknięcia kilku oddziałów PSL i aresztowania jego przywódców, donosi m. in.: „Aczkolwiek kroki powyższe nie były niespodzianką dla Mikołajczyka i jego towarzyszy partyjnych, wiadomość o tych zarządzeniach wywołała poważną obawę w szeregach PSL i oczekiwane są dalsze wydarzenia..." Zarówno „Times", jak i inne gazety angielskie doniosły ostatnio o zamordowaniu czterech żołnierzy sowieckich i jednego oficera przez Polaków i przewidują, że w związku z tym wzrosną represje. Ich zapowiedzią jest bodaj i to, że „delegacja wojska polskiego" udała się do „premiera" Osóbki - Morawskiego, prosząc o wydanie ostrzejszych zarządzeń przeciwko „terrorystom" i ofiarowując współpracę wojska.

Nie przebrzmiały jeszcze echa rozruchów studenckich w Krakowie. Prezydent miasta Krakowa zapytany przez korespondenta zagranicznego o los setek studentów, aresztowanych 3 maja za demonstracje antyrządowe — odpowiedział: „Ci, którzy będą uznani za winnych okrzyków antyrządowych, będą surowo ukarani". Rektor uniwersytetu krakowskiego Lehr - Spławiński zagroził zamknięciem uniwersytetu, jeżeli aresztowani studenci nie zostaną zwolnieni. A przypomnieć należy, że w dniu 3 maja „ludowe i demokratyczne władze nowej Polski" otworzyły ogień z karabinów maszynowych do młodzieży demonstrującej swoje przywiązanie do ideałów niepodległości.

Zestawmy teraz trzy głosy cudzoziemców, charakteryzujące rzeczywistość polską. Churchill, autor umowy jałtańskiej odpowiedzialny za jej przyjęcie przez W. Brytanię, oświadczył podczas ostatniej debaty w Izbie Gmin: „Polska została pozbawiona wszelkiej możności wyrażania swej woli narodowej... Znajduje się ona pod ścisłą kontrolą rządu, pozostającego pod wpływami Sowietów, który nie może rozpisać wolnych wyborów pod kontrolą przedstawicieli trzech lub czterech wielkich mocarstw". Mary Cavanage, która wróciła właśnie z Polski po trzymiesięcznym tam pobycie, pisze w „Manchester Guardian", że kraj, który znajduje się w szponach policji politycznej, zdolnej do aresztowania i badania obywateli, trzymania ich pod aresztem bez sądu przez czas nieokreślony — nie zmierza do systemu zachodniodemokratycznego. Korespondentka twierdzi, że urząd bezpieczeństwa jest państwem w państwie i nie odpowiada za swoją działalność ani wobec społeczeństwa, ani wobec rządu. Wreszcie dziennik „L'Ordre" stwierdza na podstawie swoich informacji londyńskich, że opinia publiczna polska w 75% będzie sparaliżowana podczas nadchodzących wyborów.

Gdy się czytą prasę, wychodzącą w Moskwie i w Warszawie, odnosi się wrażenie, że Stalin spędza bezsenne noce nad obmyślaniem sposobów uszczęśliwienia Polski. Gdy zaś przyjrzeć się faktom, to należy stwierdzić, że rozwój stosunków w Polsce jest taki, jaki normalnie bywa w okupacjach; okupant chce zniszczyć i zdezorganizować życie okupowanego kraju, zaś kraj ten broni się wszelkiemi siłami.

DEFILADA ZWYCIĘSTWA

W Londynie odbyła się Defilada Zwycięstwa w związku z rocznicą militarnego pokonania Niemiec. Jak w lustrze, odbija się w niej wartość osiągniętego „zwycięstwa".

W defiladzie nie wzięła udziału reprezentacja naszej armii, która odegrała tak istotną rolę w pobiciu Niemiec. W defiladzie nie wzięła również udziału delegacja armii czerwonej. Obie te nieobecności mają swoją wielką wymowę polityczną.

Wojsko polskie nie było reprezentowane, gdyż nie było zaproszone. Bardzo słusznie oświadczył kardynał Griffin: „Powinniśmy i musimy protestować przeciwko takiemu skandalicznemu postępowaniu wobec naszego rycerskiego alianta". Sprawa ta nie wymaga dalszych komentarzy. Jest tym jaskrawsza, że, jak to napisał tygodnik „The Weekly Review", „zbękarcona tyrania i maskarada rządu polskiego" — otrzymała zaproszenie do wzięcia udziału w defiladzie.

P. Żymierski nie mógł jednak skorzystać z zaproszenia, gdyż armia sowiecka nie chciała wziąć udziału w defiladzie. Armia sowiecka uchyliła się zaś od udziału dlatego, że jest wrogiem Zachodu, a wspomnienie technicznego współdziałania z Zachodem w czasie wojny nie gra już dziś żadnej roli.

GENERAŁ BOR W AMERYCE

Drugim lustrem, w którym znajdujemy wierne odbicie sytuacji po wojnie, militarnie wygranej, politycznie zaś przegranej — jest wizyta generała Tadeusza Bora-Komorowskiego w Stanach Zjednoczonych.

W ciągu kilku tygodni swego pobytu w Stanach Zjednoczonych Wódz Naczelny był uroczyście i serdecznie podejmowany nie tylko przez Polonię Amerykańską, ale także przez przedstawicieli społeczeństwa amerykańskiego. Dziennik paryski „Le Carrefour" stwierdził, że podróż generała Bora była to prawdziwie triumfalna droga, która wiodła przez szereg miast amerykańskich.

Moskwa nie mogła strawić tej sprawy. „Ten stary reakcjonista dalej zbiera oklaski rozszalałej reakcji" — stwierdziło radio moskiewskie. Oczywiście odezwał się również pan Lange, jeden z ambasadorów imperium sowieckiego. Do protestu Langego przyłączył się oczywiście pan Gromyko. Ten ostatni nazwał generała Bora dezerterem. Jeżeli o tym wspomi namy, to tylko dlatego, aby przy okazji jeszcze raz uwypuklić współpracę pana Langego, „ambasadora" Polski, z jego szefem, panem Gromyko — przedstawicielem Rosji.

Umiędzynarodowienie Triestu

ANALOGIA TRIEST—GDAŃSK

Według ostatnich doniesień z Paryża, ministrowie spraw zagranicznych „wielkiej czwórki" mieli rzekomo dojść „w zasadzie" do porozumienia w sprawie umiędzynarodowienia Triestu i bezpośrednio doń przylegającego obszaru. Plan przewiduje, że kontrola spoczywać będzie w ręku czterech mocarstw, a również Włochy i Jugosławia będą miały coś do powiedzenia. Jakkolwiek wiadomo z praktyki, że taki pryncypialny kompromis może łatwo przerodzić się w całkowitą niezgodę, kiedy dojdzie do omawiania wszystkich szczegółów — to nawet ostateczne porozumienie między mocarstwami nie oznacza jeszcze zupełnego rozwiązania trudności.

Powstaną nowe powikłania, kiedy kwestia wejdzie na porządek dzienny konferencji pokojowej, która rzekomo zebrać się ma 25 lipca. Zarówno Włochy, jak Jugosławia już wypowiedziały się przeciwko projektowi umiędzynarodowienia i nadal każde z tych państw osobno żąda Triestu dla siebie. Jeżeli nawet wszystkie przeszkody zostaną pokonane i projekt wprowadzony będzie w życie, to i tak Triest pozostanie ropiejąca raną na dostatecznie schorzałym organiźmie Europy. Rada czterech wielkich mocarstw, zarządzająca tym portem, na pewno nie będzie kierować się interesami krajów południowo-wschodniej Europy. Natomiast współpraca w tym nowym „wolnym mieście" będzie odbiciem konfliktów między mocarstwami na najrozmaitszych obszarach w całym świecie.

Cały projekt wysunięty został w tym celu, aby umożliwić w ogóle zawarcie traktatów pokojowych. Jest to jednak tylko ratowanie pozorów i snucie mirały przed opinią międzynarodową. Omijanie bowiem trudności nie jest, oczywiście, żadnym wyjściem i jeżeli nawet dojdzie do zawarcia traktatów, to świat już po kilku miesiącach przekona się, że niczego dobrego po takim pokoju oczekiwać nie może. Pozostawienie w zawieszeniu kapitalnej sprawy rozdziału kolonii włoskich oraz stworzenie nieprzystosowanego dla praktycznych wymogów życia statutu Triestu, będzie źródłem stałego zamętu nie tylko dla Włoch, ale dla całej Europy i świata. O tym świadczy chociażby agresywna podstawa elementów titowskich, szczególnie jaskrawo uwydatniająca się w ostatnich dniach w Trieście.

Analogia z sytuacją, jaka istniała w okresie między dwiema wojnami światowymi w Gdańsku, jest uderzająca. Tak jak niegdyś Rada Ligi Narodów musiała całymi tygodniami debatować nad sprawą skrzynek pocztowych w Gdańsku, tak w przyszłości podobne zagadnienia będą stale figurować na porządku dziennym Rady Bezpieczeństwa — instytucji w teorii powołanej do tego, aby być strażniczką pokoju światowego, a nie policjantem zajmującym się kwestiami administracyjnymi poszczególnych miast.

PLEBISCYT W POLSCE

Ubiegłej niedzieli odbył się w Polsce plebiscyt, którym „rząd" warszawski chciał wykręcić się od przyjętych w Jałcie i Poczdamie zobowiązań przeprowadzenia wolnych wyborów. Mimo, że rozgłośnie sowieckie i administracji warszawskiej już ogłosiły, że wynik plebiscytu jest „wielkim zwycięstwem polskiej demokracji", to jednak oficjalne czynniki warszawskie wykazały większą wstrzemięźliwość, oświadczając tylko, że wyniki plebiscytu będą znane dopiero 12 lipca. Warto przypomnieć, że wyniki niedawnego plebiscytu konstytucyjnego we Francji znane były w kilkanaście godzin po zamknięciu lokali wyborczych, jakkolwiek Francja, nie licząc już kolonii, jest obszarem znacznie od Polski rozleglejsza. Ta zwłoka wykazuje jasno, że administracja warszawska zamierza dokonać szeregu „cudów wyborczych", aby uświetnić „demokratyczne zwycięstwo".

Korespondenci zagraniczni, którzy objeżdżali lokale wyborcze, zdążyli zauważyć, że w wielu z nich w komisjach wyborczych nie było przedstawicieli opozycyjnego PSL, a w szeregu miejscowości dopuszczono się w dniu wyborów gwałtów i napadów. Również Mikołajczyk oskarżył organy rządowe o szereg nadużyć i stwierdził, że w wielu okręgach PSL nie mogło rozwinąć żadnej agitacji przed wyborami. Polemizował on także z tezą propagandy oficjalnej, jakoby wszyscy biorący udział w plebiscycie byli bezwzględnymi zwolennikami rządu, przypominając, że również PSL nawoływało do wzięcia w nim udziału, a jedynie różniło się od stronnictw pozostających pod dyrektywami komunistów tym, że zalecało odpowiadać „nie" na pierwsze pytanie, dotyczące wprowadzenia w Polsce parlamentu jednoizbowego.

Prawdziwe jednak nastroje w Polsce ilustruje fakt, że rząd warszawski na krótko przed dniem plebiscytu zdecydował się na zmianę trzeciego pytania, dotyczącego aprobaty jego polityki zagranicznej. Wykreślone z niego zostały słowa mówiące o przyjaźni ze Związkiem Sowieckim, a pozostało tylko uznanie dla zachodniej granicy polskiej, opartej o Odrę i Nissę. W tych warunkach nikogo nie dziwią doniesienia korespondentów zagranicznych, że na murach Warszawy w przede dniu plebiscytu pojawiły się afisze organizacji oskarżanych przez władze warszawskie o uprawianie walki z reżimem, wzywające do składania kartek z odpowiedzią „tak" na to ostatnie pytanie. Jak widać, rząd warszawski zamierza z faktu, że cały naród aprobuje granice zachodnie, uzyskać argument, iż aprobata ta dotyczy i obecnie panującego w Polsce reżimu. Wątpić należy, czy niezależna opinia światowa da się wziąć na ten nowy kawał.

NIEPOKOJE W EGIPCIE I LIBANIE

Oprócz Palestyny także w innych państwach Środkowego Wschodu sytuacja jest napięta. Rokowania anglo-egipskie nie zostały jeszcze wznowione i opinia egipska zdradza z tego powodu coraz większe zniecierpliwienie. Opozycja wykorzystuje to dla swych ataków na rząd, oskarżając premiera Sedki Pasze, że przez aprobatę brytyjskiego projektu stworzenia stałej anglo-egipskiej komisji wojskowej — zgodził się w istocie na dalszą okupację Egiptu. Tej agitacji nie jest w stanie uciszyć tak symboliczny fakt, jak ewakuacja przez oddziały brytyjskie cytadeli w Kairze, na której Union Jack powiewał przez 60 lat, oraz zapowiedź szybkiego opuszczenia Aleksandrii. Jednocześnie w Egipcie wzrasta bezrobocie, spowodowane zwolnieniem robotników przez wojsko brytyjskie i pracujące dla zakłady. Powoduje to nowe fale niezadowolenia, wykorzystywane przez propagandę komunistyczną, która poczyniła ostatnio w Egipcie duże postępy. Wzrostowi niezadowolenia sprzyja również agitacja opozycyjnej partii Wafd.

Jeszcze silniej wpływy komunistyczne ujawniły się ostatnio w Libanie, który przeżywa falę strajków o rozmiarach dotychczas na Wschodzie nie spotykanych. Partia komunistyczna jest tam stosunkowo silna i wykorzystuje dla swej agitacji, podobnie jak w Egipcie, niski poziom płac i wielkie bezrobocie, które objęło podobno w Libanie 50 tys. robotników, co wraz z rodzinami stanowi poważny odsetek ludności tego kraju. Akcja komunistyczna nie ma jednak bynajmniej na celu wywalczania robotnikom libańskim lepszych warunków, ale prowadzona jest wyłącznie dla celów politycznych. Sowiety bowiem bardzo zaniepokojone są ostatnią wizytą prezydenta Libanu w Ankarze, która miała na celu stworzenie podstaw ścisłej współpracy arabsko-tureckiej, mogącej liczyć na poparcie Anglii. Moskwa ze swej strony dała instrukcje agentom komunistycznym, aby za wszelką cenę prowadzili akcję osłabienia spoistości młodego państwa libańskiego i utrzymywali je w stanie stałego wrzenia.

LUDZIE i FAKTY

Kiedy przed kilkoma miesiącami w jednym z portów amerykańskich aresztowano sowieckiego oficera marynarki Redina, który chciał wywieźć do Rosji plany konstrukcji jednego z najnowszych amerykańskich okrętów — w Moskwie aresztowano młodego urzędnika ambasady amerykańskiej Waltera Ruess, pod zarzutem „chuligaństwa".

Prasa amerykańska przynosi obecnie szczegóły na czym to „chuligaństwo" miało polegać. Ruess, jak wszyscy cudzoziemcy w Moskwie, był stałym bywalcem na przedstawieniach baletowych, które są dla nieznających rosyjskiego jedyną rozrywką w Moskwie. Bardzo spodobała mu się jedna z aktorek, którą po pewnym czasie poznał na jakimś przyjęciu. Zaproponował jej, że chciałby ją widywać, ale spotkał się z odmową, to też wielkie było jego zdziwienie, kiedy po kilku dniach otrzymał od niej list z wyznaczoną datą i miejscem spotkania. Przyjechał samochodem na wskazane miejsce i zaprosił aktorkę na przejażdżkę.

Po kilku minutach jazdy szofer zwolnił biegu na jednej z głównych ulic moskiewskich, a jego towarzyszka wyskoczyła z wozu i głośno zaczęła wołać pomocy. Młody Amerykanin nie wiedział, iż żadna Rosjanka nie będzie się zadawać z cudzoziemcem, chyba na wyraźne polecenie NKWD. Doświadczyli już tego nieraz zagraniczni dyplomaci i korespondenci, którzy przyłapywali swe rosyjskie przyjaciółki na rewidowaniu ich papierów.

W danym wypadku polityce sowieckiej potrzebny był pretekst, aby aresztować Amerykanina w odpowiedzi na aresztowanie sowieckiego szpiega w Stanach Zjednoczonych. Dlatego z niewinnej przejażdżki samochodowej zrobiono „chuligaństwo".

■

Amerykański tygodnik „Newsweek" ujmuje w następujący sposób taktykę polityczną, którą określa nazwą „styl sowiecki":

„Pierwsza faza: Towarzyska.

Druga faza: Ogólne usztywnianie stanowiska Rosjan.

Trzecia faza: Stanowisko Rosjan wydaje się niewzruszone a zagadnienia nie do rozwiązania.

Ostatnia faza: Nagłe ustępstwa ze strony Rosjan, prowadzące do porozumienia; Amerykanie i Brytyjczycy są chwilowo zachwyceni; następnie zaglądają uważnie co mają, i przychodzą do wniosku, że w gorącym pragnieniu osiągnięcia porozumienia dostali tylko część tego co powinni byli dostać".

Wydaje: Wydział Kultury i Prasy D-twa JWSW. Jerusalem Press Ltd. Adres redakcji: Polish Forces M.E. 67.